



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wacława Jarmolińska

W okupowanym Włocławku

W momencie wybuchu II wojny światowej miałem cztery lata. Urodziłam się 24 czerwca 1935 roku we Włocławku i tam pozostało moje dzieciństwo.

Był wrzesień 1939 roku. Pewnego bardzo gorącego dnia uciekałyśmy z Mamą chłopską furmanką z Włocławka. Tata pozostał, gdyż był w obronie miasta. Jechałam w ten sposób pierwszy raz w życiu i byłam bardzo zdziwiona tą podróżą. Pamiętam, jak w polu, na którym żółciły się kwiaty Mama kazała mi leżeć płasko na ziemi, a niemieckie samoloty ostrzeliwały jadącą ludność. Później była jakaś wieś i żuraw, na którym leżały przewieszzone zwłoki. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, co było powodem ucieczki i dlaczego ci leżący ludzie już się nie ruszają. Pamiętam doskonale jak Mama niosła mnie ulicą. Stali tam żołnierze i strzelali do nisko lecących samolotów. Trafiliśmy do schronu, w którym było wielu dorosłych ludzi i dzieci. Mieścił się on w fabryce kawy „BOHMA”, znajdującej się przy tej samej ulicy, przy której mieszkaliśmy.

Miałam chyba sześć lat, gdy widziałam jak po likwidacji getta żydowskiego pędzono tych ludzi. Stałam przed domem patrząc na padających na bruk starych ludzi i dzieci. Widziałam jak ludzie w mundurach bili ich, a psy popędzały do pośpiechu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że wywożono ich do obozu koncentracyjnego.

Niemcy uznali, że kamienica, w której mieszkaliśmy będzie im przydatna i to w całości, wobec czego zamieszkujący ją lokatorzy musieli wyprowadzić się w ciągu 24 godzin.

Był rok 1941 – miałam małą siostrzyczkę, nowe mieszkanie na peryferiach miasta i Tatę w Obozie Pracy w Karsznicach koło Łodzi. Zostałyśmy bez potrzebnych nam przedmiotów i bez Ojca. Ludzie nam pomogli i życie jakoś toczyło się dalej. W 1942 roku urodziła się następna siostrzyczka. Nie miałam jeszcze siedmiu lat i przeżyłam szok, gdy w środku nocy Mama mnie zbudziła i kazała zawołać sąsiadów. Pamiętam moje zdumienie, gdy weszłam ponownie do pokoju i zobaczyłam ją leżącą na podłodze wraz z płaczącym małym dzieckiem. Siostrzyczka leżała na jasieczku. Od samego początku była bardzo słabowitym dzieckiem i wiele osób twierdziło, że długo nie żyje. Mama leczyła ją i ratowała jak mogła, dzięki czemu żyje do dziś.

Mama pracowała na nas wszystkich niejednokrotnie jedynie za talerz zupy. Nie było zabawek, nie było słodyczy, nie było ubrań i lekarstw. Brak lekarstw spowodował, że moja średnia, czteroletnia siostra Basia zmarła po trzech dniach choroby. Ja i moja najmłodsza siostra Dziunia też byłyśmy w tym czasie chore, a Tata w dalszym ciągu przebywał w Obozie Pracy.

Brak słodyczy zastępowały wytłoki buraczane, które zbierałam z innymi dziećmi z mojego podwórza pod wagonami na kolei. Pamiętam, że straż kolejowa strzelała do nas, czy może z innego powodu – nie

pamiętam. Wiem, że zawsze wtedy uciekaliśmy. Zabawkami były wielokrotnie skorupy fajansu i formy gipsowe wyrzucane poza zakład. Latem całymi dniami biegałam – przeważnie boso – i bawiłam się przed domem z gromadą dzieciaków z naszego sąsiedztwa. Podwórze pokryte było szarym piachem, a na środku stała studnia, wokół której można było urządzać zabawy w „ganianego”. Byłam najstarsza w domu, musiałam więc pomagać Mamie, choć trzeba przyznać, że ona starała się nie wykorzystywać mnie do ciężkich prac. Przynosiłam w wiadrach wodę przeznaczoną do gotowania posiłków z odległej pompy. Najgorzej było zimą, gdy dostęp do pompy utrudniał lód i oblodzone schody, które trzeba było pokonać, by wnieść pełne wiadra. Chodziłam też do sklepu po mleko i inne sprawunki. Pamiętam że 1/4 litra pełnotłustego było dla najmłodszej siostrzyczki, a 1/2 litra chudego dla średniej i chyba dla mnie. Dramatyczny był dla mnie dzień, gdy zgubiłam całomiesięczne kartki na chleb. Mama nie krzyczała. Zrozumiała, że przez przypadek wypadły mi z kieszeni fartuszka.

Brak żywności powodował, że ludzie z miasta z resztek swych ubrań wybierali te w możliwie dobrym stanie i jeździli na wieś na handel wymienny. Mama pozwoliła mi kiedyś wziąć udział w jednej z takich wypraw. Przypuszczam, że musiało być w domu już bardzo źle – po prostu nie pamiętam co spowodowało jej zgodę – zresztą tylko jeden raz. Wioski, w których odbywał się ten „handel” znajdowały się za Wisłą. Ze względu na to, że most był zburzony, przeprawa przez rzekę odbywała się łodzią. Musiała być późna jesień, padał deszcz i wiał bardzo silny wiatr. W łodzi było bardzo dużo ludzi i przelewała się woda. Utkwił mi w pamięci potworny strach, że nigdy nie dopłyniemy do brzegu i że nigdy nie zobaczę swojej rodziny.

Na ul. Kilińskiego była komenda SS. Pamiętam, że gdy Mama wysyłała mnie w tym kierunku, przechodziłam na drugą stronę ulicy, by nie mijać człowieka w czarnym mundurze z wilczurem u nogi. Dzieci po prostu wiedziały, że należy ich omijać. Niedaleko naszego domu były koszary. Codziennie o jednej godzinie przechodzili żołnierze śpiewając „Hajli, hajlo...”. Do dziś pamiętam tę melodię. Cała dzieciarnia naszego podwórza wybiegała wtedy przed dom, by się im przyglądać – to też była rozrywka.

Postać niemieckiego żołnierza utrwaliła się w mojej pamięci po tym, jak pewnego dnia pod nasz dom podjechała ciężarówka pełna żołnierzy, którzy wpadali do mieszkań poszukując ciepłej odzieży. Przerazona wcisnęłam się między szafę a ścianę. Dużo nie znaleźli, bo już wcześniej w trakcie wysiedlenia nas z poprzedniego mieszkania zabrali co lepsze rzeczy.

Gdy skończyłam siedem lat Mama zdecydowała, że należy mnie nauczyć czytać, pisać i liczyć. Tak zaczęła się moja edukacja wojenna. Z braku podręczników szkolnych nauczyłam się czytać na podstawie książki Anny Lewickiej pt. „Z naszych pól i lasów”, a konkretnie na opowiadaniu z tejże książki „Miś piastun”. Od tego momentu zaczęła się moja miłość do książek. W związku z tym, że w trakcie opuszczenia poprzedniego mieszkania udało się Tacie zabrać wszystkie książki i czasopisma, które kupował dla mnie jeszcze przed wojną, wpadłam w trans czytania nie rozumiejąc wielu spraw i określeń. Na moje szczęście w sąsiedztwie mieszkała nauczycielka posiadająca duży księgozbiór literatury dziecięcej, z której mogłam korzystać. Na pewno bardziej rozumiałe były dla mnie takie pozycje, jak „Kocia mama” i „Słoneczko” niż „Ogniem i mieczem”, „Faraon” czy „Szwedzi w Warszawie”, tym bardziej że nie było komu wyjaśnić mi wielu słów, sytuacji czy spraw. Mama nie miała czasu by się tym zajmować.

Ze względu na to, że dla nas Polaków nie było niczego (kościół był zamknięty, szkół polskich nie było, kino i park tylko dla Niemców, tak jak i ławki na Pl. Wolności z napisem – naturalnie niemieckim – „Nür für Deutsch”), gdy miałam osiem lat Mama postanowiła, że będę uczęszczać na komplety tajnego nauczania. Chodziło o poszerzenie zakresu moich dotychczasowych wiadomości o inne przedmioty niż język polski i matematyka, a także utrwalenie gramatyki i ortografii. Na lekcje chodziłam wieczorami, książki i zeszyty nosiłam pod fartuszkami. Mama zawsze po mnie przychodziła. Uczęszczanie na komplety kojarzy mi się też z uczuciem sytości, bo nauczycielka zawsze wieczorem szykowała dla wszystkich kolację.

Moja Mama dorabiała szyciem, a konkretnie przeróbką starych ubrań. Brak zabawek spowodował, że szyła też lalki dla dzieci, naturalnie na sprzedaż. Mój zachwyt nie miał granic, gdy widziałam te cuda, które miały wyszyte buzie i piękne sukienki. Pamiętam, że miałam do Mamy żal, że ja takiej lalki nie mogę mieć. Trudno było zrozumieć dziecku, że ważniejszy jest kawałek chleba, ziemniaki lub zupa, niż lalka.

Moje wojenne dzieciństwo skończyło się pewnej nocy, gdy pod naszymi oknami oklejonymi papierem, by nie popękały szyby, stanęły ruskie katusze ostrzeliwujące Niemców uciekających z naszego miasta. Pamiętam tę noc też dlatego, że na niebie ukazały się łuny pożarów spowodowanych przez wycofujących się hitlerowców. Ludzie biegli do tych podpalonych budynków, gdyż mieściła się w nich żywność – były to magazyny wojskowe. Byłam zawsze ciekawym dzieckiem i mimo zakazu oddalania się od domu pobiegłam na Pl. Wolności. W wieży kościoła protestanckiego pozostali żołnierze niemieccy, którzy ostrzeliwali się. Na placu leżały trupy polskich żołnierzy. Tata wrócił do domu po kilku tygodniach – szedł pieszo ciągnąc saneczki ze swym obozowym dobytkiem. Był bardzo schorowany, miał spuchnięte nogi i potworne bóle głowy. Zmarł gdy miałam niespełna piętnaście lat.

Na koniec mogę powiedzieć tylko jedno – nie czuję nienawiści do obecnych Niemców, ale przez wszystkie te lata, gdy nawet moi najbliżsi jeździli do Niemiec, ja nigdy nie miałam odwagi, a może „serca”, by odwiedzić ten kraj.